

Nigdy nie byłem w teatrze ogrodnym. Nie zdążyłem. Znikły z horyzontu zanim przyszedłem na świat; w każdym razie zanim zacząłem chodzić do teatru, nawet z rodzicami.

Szkoda. Musiało to mieć wiele uroku. Z tego co przetrwało w formie relacji, z fotografii czy zdjęć filmowych można sobie wyobrazić jak atrakcyjne były to przybytki. Myślę, że były one również szkołą teatru. I szkołą aktorstwa. Rzadko się dziś trafia taka jedność treści i formy. A przecież teatr był tylko dodatkiem do konsumpcji; bilet — jeśli się liczyło — to mniej niż rachunek przy stoliku.

Ten rzewny fin-de-siècle'owy obrządek przyszedł mi na myśl ostatniej niedzieli, gdy się znalazłem w powsińskim Parku Kultury. Dotąd znałem tę instytucję tylko z nazwy, nigdy tam nie byłem. Na szczęście nie spóźniłem się, zdążyłem zobaczyć i zostałem zawojowany. To urządzenie budzi optymizm.

Podobnych parków jest w kraju sporo, nie wspominając o najstarszym i najlepiej wyposażonym śląskim Parku Kultury i Wypoczynku. Nie wiem tylko czy wszędzie są one w podobny sposób użytkowane. Między wielu różnymi urządzeniami rekreacyjnymi w parku warszawskim znajduje się również estrada z dość obszerną widownią. Architektura tej przestrzeni odbiega nieco od krękich wzorów, jest nieporównanie bardziej rustykalna; zamiast kamiennych stonni widownię znaczą drewniane ławki białe

Teatralna ścieżka obok drogi

ANDRZEJ WRÓBLEWSKI

TEATR



w zieloną murawę, w dole na podwyższeniu rodzaj scenki, ukrytej w cieniu rozłożystych dębów. Ma to swoisty urok. Elektronicznie wzmacniana akustyka dystansuje słyszalność amfiteatrów greckich: głośniki nie gubią najmniejszego szmeru, nawet podmuchu wiatru. Ale to w działaniu jest już mniej urokliwe.

Co jednak najbardziej zaskakuje — to publiczność. Na występie Teatru Ziemi Mazowieckiej było — na oko licząc — jakieś 400 czy 500 osób różnej kondycji ludzi, którzy bywali w teatrze, a dziś korzystają z bezpłatnej okazji. I takich, którzy do teatru jeszcze nie trafili.

Wystawiono „Fircyka w zalotach” Zabłockiego. „W związku z dwustuleciem Komisji Edukacyjnej” — jak głosił afisz. Wyszedł więc aktor w kolorowym, aksamitnym fraczku i białej peruce i wygłosił dłuższą rymbwaną perorę o panu Zabłockim, o Komisji Edukacyjnej i królu Stasiu; po czym ukazał się drugi aktor również we fraczku i peruce i deklamował adres dziękczynny pod adresem króla: domyślił się, że to sam pan Zabłocki; wreszcie obydwa powtórnie wstąpili na scenę, także we fraczku i białej peruce, i to dopiero był staroście z „Fircyka”.

Nie powiem, nosił fraczek zgrabnie, perucę również. Ale przedstawienie wydało mi się „gubawe”. Nie tylko że gruba krecha pociągnięta przez reżysera, który widać starał się zbliżyć je publiczności objazdowego teatru. Zapomniał chyba, że ta publiczność obcuje

na co dzień — przez telewizję — z wybitnymi aktorami i nauczyła się krytycznie odnosić do różnych prób „zblżenia” czy „popularyzacji”. Już nie te czasy! Było ono grube wskutek podwójnego gwałtu, zadanego utworowi przez teatr i przez naturę, przez upchnięcie siła w plener. Rokokowe wnętrza zamieniło się w przysłowiowy kwiat przy kożuchu w otoczeniu naturalnej zieleni drzew, otulających estradę. Mimowolny „udział” przyrody podkreślił nie-naturalność scenarii mocniej, niż głośniki, które zamieniały słowa w huragan. „Fircyk” nie tylko nie przylegał do otoczenia: zgwałcony przez nie; sam je gwałcił. Po do takiej estrady pasuje teatr jarmarczny czy uliczny, w każdym razie ludowy, nie aksamitne fraczki i rokokowe peruki.

Podejmuję tę sprawę, bo — jak się wydaje — nowa odmiana teatru ogrodnego, „teatr parkowy”, otwarty, pod gołym niebem, na domiar bezpłatny, nawiedzany przez szerokie rzesze jest szansą zbyt niecałą, by wolno ją kwitować zdawkowymi komplementami. Przedstawienie takie nie może być zwyczajnym przeniesieniem ze sceny pudełkowej; musi być zaadaptowane do gry na wolnym powietrzu. Wzrost obywatelnego nie-mechanicznego. Należy zatem dobrać repertuar bardziej odpowiedzialnie, aby uzyskać zgodność treści i formy, jak dawniej w teatrach ogrodnikowych. Myślę, że na takiej estradzie dobrze wypadnie Schillerowski „Kram z piosenkami”, rybałtowska komedia, czy „Sen nocny letniej” Szekspira. Prymatywna estrada i przyroda mu-

szą zostać „wkalkulowane” w planistyczny kształt widowiska; jego prostota będzie blizszce naturalnym, niepowtarzalnym wdziękiem teatru.

Poza tym, jeśli traktować te imprezy nie jako odfajkowanie pozycji w planie czy „filantropię kulturalną”, lecz jako środek zdobycia widza, wydeptania obok drogi, prowadzącej do teatru. Także wąskiej ścieżki — warto pomyśleć o podniesieniu atrakcyjności. Gdyby w tej czy innej roli wystąpił raz — na zasadzie gościnnej, nie zapowiadany — aktor znany, popularny, którego się widuje w telewizji — ścieżka owa, dawałaby w świat nieznanych dźwięków, zamieniłaby się w gościniec. Po — powiedzmy to wreszcie głośno — tradycyjna droga do teatru metodą organizowania widowni pozwoli zarasta trawą.

Myślę, że nawet jednorazowy występ Mariusza Dmochowskiego na estradzie w Parku Kultury może więcej dobrego zdziałać, niż stała opieka prezesa Związku Pracowników Kultury nad sceną o-polską.

Ceterum censeo — nie sprawiłyby to mu przykrości; spotkałby się z reakcją raczej zachęcającą do takich kontaktów, odświeżającą ów dawne aktorskie brzośca. Teatrowi zaś dałoby to porcję świeżej krwi.

P.S. Nazwisko znakomitego aktora Mariusza Dmochowskiego zostało przywołane na zasadzie „rybki”. Z równym powodzeniem mógłbym wymienić wiele innych nazwisk prezesów, wiceprezesów i innych dygnitarzy w hierarchii aktorskiej.